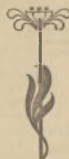
Nr. 54. **Wtorek.** **Kraków, 14. października 1902.**

KURYEREK KRAKOWSKI



Ilustrowane pismo codzienne dla wszystkich

Numer sobotni w podwójnej objętości.

Cena egzemplarza 2 ct.

Przedpłata miesięcznie:
w Krakowie 1 Kor.
na prowincyi 1 Kor. 40 gr.

Ogłoszenia po 20 groszy za wiersz petitu.

Kuryerek opuszcza prasę codziennie z wyjątkiem niedziel i uroczystych świąt o godzinie 5 popołudniu.

Za redakcyę odpowiedzialny: Adolf Landowski.

Adres wydawnictwa: Kraków, Karmelicka 7. — Nr telefonu 494.

Redakcyą kieruje: Feliks Mrawinczyc.

Wydawca: Feliks Mrawinczyc i Spółka.

„Pokrytka".

(Opis wewnątrz numeru).

Odezwa do kobiet polskich.

Uroczystość jubileuszowa Maryi Konopnickiej, zapowiedziana na dzień 19 października b. r., powinna zgromadzić cały ogół kobiet polskich, aby hołd i wdzięczność okazać tej, która przez ćwierć wieku twórczością swoją bujną, żywotną, hasłami swemi górnemi i gorącemi krzepi serca i wznosi duchy pokolenia naszego, wskazując, jaką ma być idealna żona i matka w Ojczyźnie naszej Polsce. Ona to pierwsza i jedyna dotychczas kobieta, która położyła niewieście dłonie na złotych strunach wieszczów naszych, ku nieśmiertelnej chwale płci swojej i poezyi polskiej! Kobiety czeskie oceniły słusznie jej geniusz niewieści i oddały hołd wielkiej pieśniarce polskiej, wystosowując wspaniały adres, na którym nie brakło ani jednego nazwiska inteligentnej obywatelki-Czeszki. Treść adresu ogłoszoną była w „Nowej Reformie“ i tylko dla przypomnienia cytujemy końcowy jego ustęp: „Z czołem uświęconem przez dotknięcie piękna, szłaś przez życie i nietylko widziałaś więcej niż widzą inni, ale nawet będąc kobietą, czułaś i cierpiałaś więcej. Byłaś głębokiem swem sercem siostrą wszystkich, co cierpieli i płakali. W Twej pieśni żyje zarazem melancholia minionej przeszłości, jako wdzięk i sława jej idealnej nieśmiertelności“.

„Śpiewaj i czyń proste ścieżki miłości i miłosierdzia, Ty która wzrokiem wieszczym widzisz świtającą w oddali wielką przyszłość ludu. Żyj jasna jutrzenko dnia pożądanego dla Ojczyzny polskiej, znana i miłowana w siostrzanej Ojczyźnie czeskiej, czczona sercem po szerokich ziemiach wszej Słowiańszczyzny“.

Wdzięczne siostrom pobratymczym za te gorące i pełne uznania słowa dla poetki naszej, nie dajmyż wyprzedzić się obcym w niesieniu czci należnej naszym Najgodniejszym!

Niech nie będzie kraj nasz tym, który zapoznaje własne talenta i zasługi! Przypominamy zatem wszystkim dobrym Polkom, którym drogi dźwięk lutni ojczystej i wzniosłe hasła narodowe i ogólnoludzkie głoszone przez natchnione usta kobiety-Polki — o dniu 19 października.

Adresy podpisywać można, oprócz w „Czytelni dla kobiet“ ul. Floryańska 32, we wszystkich księgarniach, handlach i lokalach Stowarzyszeń w Krakowie.

Kłamstwa prasy niemieckiej.

Dzienniki niemieckie — czy Wiedeń, czy Berlin jest ich miejscem urodzenia — kłamią niby z nut, ile razy muszą teraz pisać o stosunkach tureckich lub włoskich. W Turcyi według nich panuje spokój, a wieści o uciemiężeniu chrześcian, o rozruchach są przesadą niesłychaną. We Włoszech znowu stosunki polityczne i ekonomiczne — zdaniem owej prasy — są fatalne, choć jeszcze przed laty dwoma — także zdaniem owej prasy — były wyborne; Zanardelli jest starym niedołęgą, a Prinetti intrygantem bez zdolności.

Zaraz wyjaśnię tajemnicę, dlaczego owe wiadomości są tak zabarwione.

W interesie polityki niemieckiej leży protegowanie Turcyi, raz dlatego, że tkwią tam znaczne kapitały niemieckie, powtóre, że Niemcy zamierzają zwolna same połknąć Turcyę niby kąsek smaczny. W tym celu muszą łgać, by żadne inne mocarstwo nie miało powodu, czy pozoru do wtrącania się w sprawy tureckie, do naruszenia całości terytoryalnej Turcyi. Dlatego też — według gazet niemieckich — postępowanie Wysokiej Porty z chrześcianami jest jak najlepsze, wieści o rozruchach nieprawdziwe; żądanie, by Turcya wprowadziła reformy, niesłuszne.

Zupełnie odwrotnie rzecz się ma:

Czarownica

19

przez

EMILA POUVILLON.

Owce pozostawały głodne, a pożółkła i zakurzona trawa, którą skubały po drodze, przynosiła im więcej szkody niż pożytku.

Jednego dnia, gdy tak błądzili wśród ugorów Peîre-Cabade, o kilka kroków od Celki, duża, stara owca padła wznak, niby piorunem rażona. Dyszała głośno, a strumień krwi zabarwił jej nozdrza.

— Ratujcie! kto w Boga wierzy! — wołała pastuszka, wznosząc z rozpaczą ręce ku niebu. — Ratujcie!

Nikt nie przybywał. Nie wiedząc jakim sposobem nieść ulgę chorej, Celka pociągnęła ją pod drzewo. Ciężkie to było zadanie! Odpoczywała najmniej dziesięć razy, zataczając się i dysząc, prawie jak owca, która silnie robiła bokami.

W połowie drogi, chore zwierzę przestało dyszeć, wystraszona pastuszka porzuciła nie fortunną pracę, i jak szalona, krzycząc i nawołując, pobiegła w stronę Ramaïrel, gdzie właśnie wycinano kukurydzę.

Na krzyk Celki, zerwali się wszyscy i pobiegli za nią, wystraszeni, szepcząc zcicha, jak zwykle, gdy nieszczęście zawiśnie nad głową.

Gdy stanęli na miejscu, owca była jeszcze ciepła, lecz nie żywa. Podniesiona rękami pastuszki, martwa jej głowa ze szklanym wzrokiem, opadła bezwładnie na ziemię, stuknąwszy rogiem o skałę.

Pochyliwszy się nad martwem zwierzęciem, Guiral otworzył zdrętwiałe szczęki, na których wystąpiły sine plamy, i rzekł ponuro.

— Zaraza.

— Oh! — westchnęła Rozyna.

— Jezu! Chryste! — zawołała Celka.

Wszyscy byli przerażeni. I nic dziwnego. Straszny wyraz wymówiony przez starego pana, brzmi nader smutnie, i ciężko spada na serca wieśniaków.

Co to za choroba — co to jest zaraza? Złe powietrze, które przychodzi nie wiadomo skąd, i Bóg wie gdzie się podziewa. Zaraza — to znaczy — śmierć. Grom, na który nie ma lekarstwa. Nie długa to robota. Z początku jedna owca, potem, potem dwie — dziesięć razem. Dzień jeden może pogrzebać całe stado, piękne stado warte sześćdziesiąt pistoli. Straszna klęska.

Włochami. Stosunki włoskie malowała prasa niemiecka tak długo w różowych barwach, dopóki Włochy należały wiernie i niezmiennie do trójprzymierza. Wtedy każdy minister włoski był genialnym politykiem; społeczeństwo włoskie robiło olbrzymie postępy; niedobór skarbowy był drobnostką, która zniknie, jeżeli nie za rok, to za dwa lata. Ów stan idyliczny zmienił się natychmiast pod piórem dziennikarzy berlińskich, gdy Zanardelli i Prinetti odsunąwszy się od trójprzymierza, zaczęli oczkować w stronę Francyi. Zamiast barwy różowej, zjawiła się czarna. Wszystko, co się dzieje we Włoszech, nie ma żadnej wartości. Zanardelli robi same głupstwa. Prinetti jeszcze głupszy, niż Zanardelli.

Odnośnie do Turcyi, prasa wiedeńska małpuje berlińską bezmyślnie, w stosunku do Włoch ma ten sam interes oczerniania tego samego państwa, co i Niemcy.

Cóż słychać nowego?

(Potęga polska). Nawet „Kreutz-Ztg." po ogłoszeniu najnowszej statystyki Niemiec z której wynika po prawdzie, że przeszło 3 miliony Polaków żyje w granicach rzeszy niemieckiej, pisze: „Ztąd wynika, że procent ludności polskiej jest bardzo silny, a już z tej liczby powinno się wyciągnąć naukę, jak błędnem by było, język polski stawiać na etat wymarcia. Gdyby można liczby obecnego liczenia porównać z poprzedniemi, wykazałoby się, że liczba po polsku mówiących wzrasta a nie upada".

(Zgoda socyalistów polskich z niemieckimi). Znane są zajścia, jakie miały miejsce na tegorocznym kongresie socyalistów w Monachium. Wiadomo, w jaki sposób socyaliści niemieccy obeszli się ze swymi „towarzyszami" polskimi. Mimo to polscy socyaliści podają niemieckim rękę do zgody. Wychodząca w Katowicach na Górnym Szląsku socyalistyczna „Gazeta Robotnicza" podaje sprawozdanie z wiecu, który się odbył w Berlinie w ubiegłą niedzielę. Uchwalono tamże jednogłośnie następującą rezolucyą:

„Socyaliści polscy zebrani dnia 5 października w Berlinie na sali lokalu „Englischer Garten", nakładają na zarząd polskiej partyi socyalistycznej obowiązek, aby nie ustępując od samodzielności swojej ani na krok, postarał się na wspólnej konferencyi doprowadzić do porozumienia między polską partyą socyalistyczną a niemiecką partyą i położyć kres gorszącym zajściom, jakie zachodzą między dwoma bratniemi(!!) organizacyami".

(Z parlamentu węgierskiego). Przed kilkoma dniami otwarto obrady parlamentu węgierskiego. Otwarciu towarzyszyły sceny wprost bajeczne. Sceny, jakie zaszły tam, były tak dzikie, że ogólnie żywią obawy co do dalszego przebiegu sesyi. Przywódca stronnictwa niezawisłości, Barabasz, przemawiał tak ostro, jak dawno w Izbie nie słyszano. Pretekstem było przedwczesne zamknięcie sesyi i nieobecność rządu przy uroczystościach kossutowskich. Nie zważając na ciągłe przerywania i przywoływania do porządku, występował Barabasz z ciężkimi zarzutami. Między innemi twierdził, że z winy rządu przez wyrok w sprawie Morskiego Oka wyrwano krajowi kawał ciała, dalej ganił rząd, że niepotrzebnie prowadzi rokowania z Austryą. Najwyższy już czas, by Węgry przeszły do samoistności. Rząd zaś z pomocą króla chce zaprządz je w rydwan Austryi.

Apponyi: Czy rzeczywiście mówił poseł Barabasz o królu?

Barabasz: Pomyliłem się; powinienem był mówić o cesarzu.

Apponyi przywołuje Barabasza do porządku.

Barabasz zarzuca dalej hr. Gołuchowskiemu, że bezprawnie mieszał się w sprawy ugodowe, toż samo cesarz. Twierdził dalej, że niema takiej potęgi na świecie, któraby potrafiła przeforsować ugodę w węgierskim parlamencie, i z polecenia swego stronnictwa oświadczył, że tak czy owak do ugody nie dojdzie chociażby następstwem miało być rozwiązanie Izby.

Całej tej dzikiej scenie towarzysył krzyk i wrzaski stronnictwa niezawisłości. Kiedy Koloman Szell chciał odpowiedzieć, stronnictwo niezawisłości krzyczało dalej, nie pozwalając mu mówić.

Szell bardzo stanowczo odparł zarzuty Barabasza i zaznaczył, że nie dopóści nigdy, ażeby mniejszość przywłaszczała sobie prawa większości. Gdyby zaś mniejszość nie chciała ustąpić i dalej wkraczała na teren ruwolucyjny, w takim razie rząd rozwiąże izbę i zaapeluje do narodu. Co się tyczy sprawy Morskiego Oka, powiedział Koloman Szell, że należy się poddać legalnemu wyrokowi sądu rozjemczego.

Uspokoiwszy się nieco, Guiral podniósł głowę. Dla jednej martwej owcy, nie należy zapominać o tych, które jeszcze żyją.

Wystraszone, becząc żałośnie, biedne owce spoglądały ciekawie na pastuszkę.

Dwie tylko, czy trzy najbardziej wygłodzone, zaczęły szczypać trawę.

Guiral rozpatrzył je z największą troskliwością, nie omijając żadnej, a gdy badał jedną najbardziej wynędzniałą, chwiejącą się na nogach, biedne zwierzątko wysunęło się z jego rąk i padło na ziemię.

Z okrzykiem przerażenia, który zamarł na ustach, Celka rzuciła się do chorej i klęknąwszy na trawie, garstką jakiegoś ziela zaczęła nacierać jej nozdrza.

— Masz, biedaczko, powąchaj, ty, moja najpiękniejsza, najwspanialsza z całego stada.

Pocierając jej czoło, mówiła dalej z pieszczotą, niby matka do ukochanego dziecięcia.

— Dostaniesz świeżej zielonej trawki, choćbym miała nosić z Segala i listków, jakie tylko są na drzewach... Wielki Boże! — krzyknęła z radością — dalej, ratujcie, ona oddecha teraz.

— Tfu! do stu katów! — zaklął Guiral. — Znowu dwadzieścia franków jak w wodę wrzucił. Zobaczycie, że popadają wszystkie, niby z drzewa śliwki.

— Nie zostawimy przecież bez ratunku tej biedaczki! — zawołała Celka. — Może przynieść octu... Pójdę do Ramairel.

— Ocet nie wskrzesi tych, co nie żyją, a wreszcie, zanim ty powrócisz, będzie już zapóźno... Nieszczęście szybko bieży...

— Lub zapalmy przynajmniej gromnicę i odmówmy modlitwy do świętego Rocha — nalegała pastuszka.

— A ja powiadam — Rzekła Rozyna uroczyście — że ktoś rzucił czary na nasze owce.

— A któżby? — spytał Guiral. — Jak żyję na świecie, nie naraziłem się nikomu w całej parafii.

— Ten, kto to zrobił, pochodzi z daleka — zaopiniowała Rozyna.

— Jeżeli masz jakie podejrzenie, mów zaraz, natychmiast — rozkazał ojciec.

— O, tego mi brak! Od czterech miesięcy nieszczęście trapi folwark. To jarzmo się złamie, to krowa róg zgubi, nie ma prawie dnia, żeby się co nie stało. Przez całe miesiące. Tak, ojcze, powiedziałam jasno i wyraźnie.

(C. d. n.)

(Ustąpienie Leona XIII). Przed około dwoma tygodniami, donieśliśmy w tem miejscu, że pogłoski o zamierzonem przez obecnego papieża ustąpieniu ze stolicy Piotrowej, powtarzają się w prasie zagranicznej coraz częściej i uporczywiej. Obecnie korespondent, piszący z Watykanu do paryskiego „Figaro" donosi, że pewna wpływowa osobistość oświadczyła mu, iż papież nie odstąpi od swego dotychczasowego stanowiska wobec obecnych zajść we Francyi. Ojciec św. pragnie odczekać stanowiska nowej sesyi francuskiej izby deputowanych.

(Nauka religii w języku ojczystym). Organ biskupa z Brestu „la semaine religieuse" oświadcza, że duchowieństwo bretońskie mimo grożącej mu straty dochodów i zniesienia nauki religii nie ustąpi i będzie nadal wykładało religią w języku bretońskim.

(Z walk o szkoły klasztorne we Francyi). W prefekturze lyońskiej pousuwano z pozamykanych szkół kongregacyjnych pieczęcie. Szkoły zostaną pootwierane i oddane pod kierownictwo pedagogów świeckich. Takie samo rozporządzenie wyjdzie niebawem dla całej Francyi.

(Strajk górników francuskich). Prezes gabinetu francuskiego miał w piątek naradę z ministrem spraw robotniczych nad środkami zaradczemi z okazyi generalnego srajku francuskich górników. Równocześnie zastanawiali się obaj nad tem, czy należy odpowiedzieć związkowi górników francuskich na drugie do rządu wystósowane pismo. Jaką powzięto uchwałę, nie wiadomo dotąd.

(Napięta sytuacya), Wiceprezydent kolei hudsońskiej i delawarskiej, zastępujący wszystkich właścicieli kopalń w Stanach Zjednoczonych Ameryki wystósował do prezydenta Roosevelta pismo, w którem domaga się, ażeby gabinet amerykański oddał górników pod sądy cywilne, istnieje bowiem między nimi sprzysiężenie ku tamowaniu komunikacyi w granicach kraju.

(Sprawa Boerów). Generałowie boerscy ominą prawdopodobnie Niemcy w swej podróży po Europie. Ludwik Botha oświadczył bowiem korespondentowi pisma „Petit Bleu", że woli się zrzec podróży po Niemczech, aniżeli dopuścić do tego, by podróż ta nabrała zabarwienia politycznego.

„Szczęście".

(*Komedya w 4 aktach przez Alfreda Capus'a, wystawiona ubiegłej soboty na scenie teatru miejskiego*).

Życie naprawdę wielkiego miasta ma coś, co odrazu bawi i zatrważa, nęci swoją rafinowaną lekkością, brzydzi ohydą zepsucia, sprawia miłe wrażenie swoją elegancyą a za chwilę odtrąca brutalnością. Ludzie tego świata to istoty, które przez godzinę umieją być manekinami w ręku zewnętrznych okoliczności, przez następną godzinę śmiało stawią czoło rzeczywistości, w trzeciej godzinie rzucają się w szał rafinowanej rozpusty, w czwartej godzinie oddają się poważnym refleksyom, a przez wszystkie godziny swojego życia nie są niczem innem, niż tem, czem byli w owej pierwszej godzinie, tj. fatalistami, którzy ślepo wierzą, że to co jest komuś „pisane", stanie się, czy on się o to będzie starał, czy nie. Bo tak ich nauczyło już to życie, co dziś jednych podnosi, drugich strąca, to życie, co jest niby grą w karty: „Kto ma, ten ma" powiada Capus... Kto ma w ręku atuta, ten jest panem sytuacyi, a kto go nie ma — próżno się rwie i szarpie. A każdy kiedyś takiego atuta raz w ręce dostaje; jedni umieją go wykorzystać, dobrzy gracze — drudzy nie umieją — kiepscy gracze; każdy ma raz w życiu „chwilę szczęścia", tylko trzeba ją umieć uchwycić i wykorzystać.

Julian Breard, młody, bardzo zdolny adwokat, jest sobie jeszcze mimo swoich zdolności i swojej rzutkości małym „mecenasikiem"... bo dotąd jeszcze nie dostał w rękę „swojego atuta". I Breard nie rozbija się za nim, nie szuka go, jest pewny, że ten atut, ta chwila szczęścia jeszcze doń przyjdzie, a pewnym jest, że ją w lot uchwycić potrafi. Tymczasem oddaje się Breard miłemu *dolce farniente*, robi długi i nawiązuje coraz to nowe miłostki. A w miłostkach ma powodzenie, bo posiada przymiot nieoceniony, który daje człowiekowi w każdej okoliczności ogromną przewagę nad przeciwnikiem, posiada zimną krew, której nikt i nic nie potrafi wyprowadzić z równowagi. Też Breard kiedy stanie przed trybunałem, wobec sali przepełnionej żądną sensacyi pu-

Maja i Mala.

Na przyjęcie pani dziedziniec cały tonął w powodzi światła, kwiatów i zieleni. Niewolnice w odświętnych szatach klęczały rzędem, oczekując rozkazu. Mai nie było między niemi.

Siedząca w lektyce, powiodła niespokojnym wzrokiem dokoła. Tknięta złem przeczuciem i niezadowolona z wypełnionego rozkazu, zapytała gniewnie:

— Gdzie Maja? Dlaczego tej nie sprzedano? — wskazując ręką na klęczącą Malę.

Dozorca podniósł zdziwione oczy, tłumacząc się, że taki był rozkaz, by sprzedać Maję.

Zrozumiała nieszczęśliwa kobieta całą pomyłkę i pojęła wielkość krzywdy, wyrządzonej jej tem nieporozumieniem. Krzyknęła rozpaczliwym głosem:

— Gdzie Maja, gdzie moja Maja?

Przerażony dozorca pokazał pismo, z poleceniem sprzedania Mai.

— Wszyscy byliśmy zdziwieni tym rozkazem — mówił pokornie — trzeba ją było przemocą zabierać. Opierała się, mówiła, że to być nie może, że pani ją lubi i obiecała ją nawet wyzwolić — ja musiałem rozkaz spełnić. Ten, co pisał, widać się omylił.

Ona nie słyszała tego, stała wyprostowana, patrzyła szeroko otwartemi oczyma; pochodnia wspomnień rozjaśniła nagle cały szereg nieszczęść przeżytych; chwyciła się raptem za głowę i nie wydawszy nawet jęku, osunęła się zemdlona.

Rzucono się na ratunek, sprowadzono nadwornego lekarza, który wydał rozkaz, aby nikt w obecności chorej nie śmiał wspominać Mai, sam z nie odstępował chorej na chwilę.

Zemdlona otworzyła oczy, ale nie odpowiadała na pytanie; leżała tak kilka godzin bez ruchu z wlepionemi w jeden punkt oczyma.

Wezwani lekarze naradzali się długo; wielka trwoga i niepokój malowały się na ich twarzach — czekali pierwszego jej słowa; cisza panowała w komnacie.

Nagle chora podniosła się i zapytała spokojnie:

— Gdzie Maja? dlaczego nie przychodzi? Zawołajcie ją do mnie.

Stało się to, czego się obawiali — była obłąkaną.

Znosiła mężnie wszystkie ciosy w życiu, patrzyła na śmierć drogich swoich, strata Mai jednak była tą maleńką kropelką, która przepełniła czarę.

(C. d. n.)

bliczności, wzbudzi z pewnością podziw, zrobi sobie „markę“ za jednym zamachem. Tylko należy wyczekać sposobności.

Nim ta sposobność w formie jakiegoś bardzo sensacyjnego procesu, który mu powierzą, nadejdzie, ćwiczy się Breard w walce — może w życiu najtrudniejszej — w walce ze sprytem i przebiegłością różnych pięknych niewiast, których serca ściele sobie pod stopy w swoim pochodzie tryumfalnym.

Piękna bardzo — piękna panna Karolina Lannier ma wielki magazyn żywych kwiatów. Niejeden już pokusił się o jej wdzięki, lecz zwycięski Breard pobija współzawodników, prawie z łatwością staje się panem serca i myśli pięknej panny Karoliny. I miłość Brearda dla Karoliny jest może inną od tej, którą dotąd darzył spotykane po drodze kobiety, bo I Karolina jest zapewne inną od wielu kobiet, nadzwyczaj piękna, choć bez żadnego wykształcenia, posiada przecież ogromną ilość wrodzonej inteligencyi, i bardzo, bardzo szlachetne serduszko.

Pewnego dnia staje się Breard panem Karoliny. Tego samego dnia jedna z jej panien sklepowych, imieniem Józefina „robi szczęście“. Młody milioner, Edmund Tourneur, który ją widział na ulicy i zakochał się w niej, przychodzi do sklepu — i bez przesmów i długich ceregieli bierze ją na utrzymanie. To „szczęście“ przyjmuje naiwna Józefina w sposób — przebaczcie wyrażeniu — cielęcy.

Drogi życiowe przełożonej i jej panny sklepowej rozchodzą się. Karolina zwija interes i mieszka przy ukochanym Julianie — Józefina żyje jako kochanka dość ograniczonego, młodego milionera, we „wielkim świecie“ i używa babilońskich zbytków w sposób dość trywialny. Lecz Tourneurowi dobrze jest z nią i daje się jej powodować, przywiązując się do niej coraz bardziej i może nie bez pewnej słuszności, bo Józefina ile jest bajecznie głupią, tyle ma dobrego serca.

Mija sześć miesiący.

Breard żyje z Karoliną bardzo szczęśliwie. Lecz „jego chwila“ jeszcze nie przyszła, siedzi w długach, jak siedział, myśli o sprzedaży malutkiego swojego rodzinnnego majątleczku i... czeka na „chwilę szczęścia“.

Aż ona, upragniona... nadchodzi!

Kochanek Józefiny, którego ojciec zrobił miliony dyabli wiedzą w jaki sposób, wchodzi w zatargi ze złośliwą prasą. Redaktor „Bussoli“, który ma ciemną przeszłość a mimo to robi Katona, „zbazgrał“ młodego Tourneur'a i nie przepuścił też jego ojcu. Tej obelgi nie może znieść zapalczywy Tourneur. Jeden jego przyjaciel radzi mu obić owego dziennikarza, drugi wyzwać go na pojedynek, a trzeci wytoczyć mu proces. Tourneur wybiera sposób trzeci jako najskuteczniejszy. Udaje się do jakiegoś bardzo znanego i głośnego adwokata, który radzi mu, żądać od redaktora „Bussoli“ bajońskich kwot, jako odszkodowania za „potwarz“. Tymczasem poczciwa Józefina dowiedziawszy się o sprawie, uważa za swój obowiązek nie ominąć sposobności nastręczenia dobrej klienteli kochankowi ukochanej swojej dawnej przełożonej, i nakłania Tourneura do oddania sprawy Breardowi.

I oto Breard dostaje swojego atuta!

Jest dość sprytny, by go dobrze wykorzystać.

Mija znów sześć miesięcy. Breard jest już „wielkim“ i majętnym. Czyni starania o godność deputowanego. Tymczasem przygodny romansik z wyrafinowaną a namiętną Simoną, typową „pięknością“ wielkiego świata, rozbija jego stosunek z ukochaną a pełną godności swojej Karoliną. Mija znów parę miesięcy. Breard jest już deputowanym, jest u szczytu swojego powodzenia. Tymczasem przekonuje się, że piękna a sprytna Simona — która mu się już znudziła — chce go usidlać i wyjść za niego za mąż. Breard nie da kpić ze siebie. Zrywa stosunek elegancko lecz stanowczo. W końcu godzi się z ukochaną Karoliną i... ma się z nią żenić.

Na tle pobieżnie tylko nakreślonych postaci większości działających osób występują silnie na plan pierwszy dwie subtelnie nawet wyrobione postacie: Brearda i Karoliny.

Breard znalazł świetnego wykonawcę w panu Mielewskim, który gdyby był nie zapomniał, że w skończonej grze nie można pomijać niektórych choćby tylko zewnętrznych drobnostek, stworzyłby w istocie postać *par excellence*.

Nie umiała mu dorównać w roli Karoliny panna Ordonówna. — Panna Ordonówna posiadająca, tak ją awansujące warunki, zewnętrzne, jest w grze swojej bardzo jednostronną.. jest — że się tak wyrażę — jak niestety większość jej koleżanek i kolegów — rozdeklamowaną. W przeważających ilościowo miejscach, gdzie koniecznie trzeba swobodnej lekkości i bardzo szybkiego tempa, nie umiała się panna Ordon utrzymać; zdaje się trochę także dlatego, że nie bardzo dobrze wyuczyła się roli na pamięć. Zaś w momentach syntymentalnych wylewów, które Capus niestety aż za często wplata w rzecz, wpadała piękna wykonawczyni roli Karoliny w klasyczny patos.

Nie jest to jej winą — w miejskim teatrze jest już widocznie taka konturnowa szkoła; tu wszystko deklamuje, wychodzi przed rampę, mówi do publiczności nie do partnera lub partnerki, poszczególne wyrazy jaskrawo się akcentuje. wogóle, zdaje się, w Krakowie nie zrozumiano jeszcze, że na scenie, która ma zadowolić współczesnego widza, musi się „robić życie“ a nie „grać“.

Tą szkołą posługują się dziś już tylko ogródki — i teatrzyki cieszące się powodzeniem w Pacanowie, gdzie kozy jeszcze kują.

Fatalne skutki tego starodawnego sposobu grania nigdy może tak jaskrawo nie raziły, jak wczoraj.

Capus, który patrzy w życie okiem bardzo bystrem a przez szkła ostre i bardzo powiększające, używa środków scenicznych, wprawdzie nierażących, ale bardzo prostych a nawet naiwnych. I jemu innych środków nie potrzeba — lecz jego musi się grać z tą samą lekkością. i szampańską werwą, z jaką to życie płynie, które on kreśli i karykaturuje i z tą szybkością, z jaką jego sytuacye postępują i rozwijają się, niby obrazy z barwnych szkiełek dziwnego kalejdoskopu lekkomyślnego a rwącego wartko życie.

Z reszty wykonawców zwróciła na siebie uwagę panna Mrozowska w istocie przepyszną tualetą i dość oryginalnem a inteligentnem pojęciem roli. Również uznanie, choć z szeregiem zastrzeżeń należy się pannie Jutkiewicz.

(&).

Wiadomości bieżące i rozmaite.

Kraków, 13 października.

Teatr miejski w Krakowie.

We wtorek 14 bm.: „Żołnierz królowej Madagaskaru“, kom. w 3 akt. S. Dobrzańskiego. (Ceny zniżone do połowy).

We środę 15 bm.: „Staroświecczyzna", kom. ze śpiewami w 5 odsłonach J. N. Kamińskiego. (Popularne).

We czwartek 16 bm.: „Szczęście" (La veine), kom. w 4 akt. A. Capus'a.

W sobotę 18 bm.: Uroczysty wieczór na cześć Maryi Konopnickiej „Bociany", obr. lud. w 1 akcie, osnuty na tle noweli M. Konopnickiej, przez Andrzeja Marka, „Miłosierdzie ludzkie", dram. w 1 akcie na tle noweli M. Konopnickiej, napisał A. Y. Y.

W niedzielę 19 bm.: „Kamionka", kom. w 4 akt. H. Meilhaca i L. Halevy (po raz pierwszy).

Repertuar teatru ludowego.

We wtorek 14 bm.: „Niobe", farsa z angielskiego w 3 aktach Henr. Paultona.

We czwartek 16 bm.: „Zagroda Sobkowa", melodramat ludowy w 5 akt. ze śpiewami.

Dnia 1-go października przenieśliśmy redakcyę i administracyę do frontowego lokalu przy ulicy Karmelickiej l. 7 (dom p. Eug. Koziańskiego).

?!?! W wieczornem sobotniem wydaniu „Czasu", wychodzącego — jak wiadomo — w Krakowie w języku polskim, znaleść można na stronicy 7. większych rozmiarów ogłoszenie niejakiego Fryderyka Wilhelma Engels'a napisane... po niemiecku!

?!?! — — — — !!!!

Stypendyum im. Maryi Konopnickiej dla Polek, kształcących się w uniwersytetach uchwaliło utworzyć Walne Zgromadzenie członków Stow. pomocy naukowej dla Polek im. J. I. Kraszewskiego w dniu 9 b. m., mianując równocześnie Konopnicką swym członkiem honorowym.

Datki na cel powyższy przyjmuje skarbnik Stow. prof. Cybulski, (Straszewskiego 21, I p.).

Komitet jubileuszowy Maryi Konopnickiej zawiadamia, że ostatecznie postanowiono następujący program uroczystości:

1. Nabożeństwo w kościele Najśw. Maryi Panny o godzinie 8-ej zrana.
2. Uroczyste wręczenie Jubilatce adresów, dyplomów i darów przez delegacye — w połączeniu z koncertem, w sali „Sokoła" o godz. 11-ej zrana.
3. Przedstawienie popularne w teatrze ludowym o godz. 3 po południu „Emigracya chłopska" i takież przedstawienie w teatrze miejskim „Kościuszko pod Racławicami".
4. Wspólny obiad w sali Saskiej o godz. 6 wieczorem.

Karty wstępu do kościoła i do sali „Sokoła" wydaje bezpłatnie za okazaniem zaproszenia, sekretaryat komitetu ul. Floryańska 32, I piętro od 5—7 wieczorem.

Udział w obiedzie, po 10 koron od osoby — tamże.

Zgłoszenia pisemne w uczestnictwie delegacyi i gości przesyłać można (oraz arkusze adresowe) pod adresem M. Siedlecka, Szpitalna 7.

Kradzież w kościele. W sobotę dn. 11 bm., wypuszczono z więzienia Stanisława Pietruchę, chłopca najwyżej lat piętnastu; odsiadywał dwumiesięczne rekolekcye za liczne przestępstwa, a między niemi siedm przekroczeń i sześć zbrodni kradzieży.

Widocznie jednak to dwumiesięczne więzienie nie poprawiło pana Stanisława, skoro zaraz tegoż samego dnia, w którym go uwolniono, udał się ten miły chłopczyk do kościoła OO. Dominikanów i zaczął „operować". Owocem jego starań było 400 koron, które wyciągnął wraz z pugilaresem p. Janowi Szczerbińskiemu, emerytowanemu maszyniście kolejowemu. Pan Szczerbiński chciał ptaszka przytrzymać, ten jednak wyrwał mu się i uciekł, wyciągając po drodze, aby nie tracić darmo czasu, 28 kor. p. Janowi Durdzie, gospodarzowi z Łazan (pow. Wieliczka). Tym razem jednak sztuka się nie udała: pp. Durda i Szczerbiński przytrzymali złodzieja i oddali go w ręce policyi.

KRONIKA LWOWSKA.

Wybryki dorożkarskie. Woźnica dorożkarski nr. 229 jadąc wczoraj popołudniu na koniu chodnikiem przez targowicę końską na ul. Zamarstynowską, najechał na przechodzącego tamtędy Abrahama Sobla, który dostawszy się pod kopyta końskie, doznał stłuczenia klatki piersiowej, po stronie lewej i zdarcia przyskórka obu rąk. Sobla opatrzyło pogotowie stacyi ratunkowej, nieostrożnym woźnicą zajmie się policya.

W Wołoskiej cerkwi skradł wczoraj jakiś „pobożny" złodziej, pani Laurze Lewickiej, przed południem, męski skórzany pulares z kwotą 170 kor. 40 hel.

Znaczna kradzież. Do pomieszkania Ettli Weinbaum, przy ul. Żółkiewskiej l. 32, dostał się wczoraj popołudniu niewyśledzony na razie złodziej, a rozbiwszy kufer, skradł damski zegarek, złoty, podwójnie kryty z 3 perełkami, złoty damski łańcuszek o plecionych ogniwach, 3 srebrne łyżki bez znaków, 3 srebrne widelce, 1 srebrny nóż, 3 srebrne kieliszki i gotówką 100 kor.

Nasza służba. P. Jakób Pinson, zamieszkały przy ul. Słonecznej l. 21, doniósł wczoraj policyi, że służąca jego 18-letnia Julia Karaban, po kilkudniowym pobycie skradłszy mu pulares z kilku koronami, zbiegła.

Julcia jest blondynką, słusznego wzrostu — szczególne znaki: bardzo piękna (tak przynajmniej opisał poszkodowany).

Nie udało się! Na placu krakowskim przytrzymał wczoraj agent policyjny dwóch młodocianych złodziei, 16-letniego Józefa Ungera i Łukasza Kuziowa w chwili, gdy z budki zamkniętej rzeźnika, usiłowali skraść połeć słoniny. Obu oddano do aresztów policyjnych.

Bohaterstwo Żyda. W Raczkach, osadzie w powiecie augustowskim gubernii suwalskiej, zdarzył się w tych dniach straszny i smutny wypadek. P. G—n miał syna epileptyka, który co pewien czas tracił zmysły, waryował, lecz potem powracał do przytomności. W sobotę, gdy p. G—n siedział w domu w gronie rodziny, wśród której znajdował się także syn nieszczęśliwy, ogarnął go zwykły szał. Młodzieniec zrzucił z siebie ubranie i wypadł na ulicę. Ojciec pobiegł za nim, ale nie mógł go dogonić, gdyż szaleniec wskoczył do rzeki Rospudy, płynącej pod miasteczkiem. Biedny ojciec zrzucił także z siebie ubranie, wskoczył do rzeki, brnął w wodzie po szyję, ale nie mógł dosięgnąć syna. Czując się bezradnym, wyszedł ojciec na ląd i począł wzywać pomocy. Pospieszył z nią człowiek 50-letni, Menachem-Mendel Pupkin, który przybywszy na miejsce wypadku i nie namyślając się długo, wskoczył do wody i dotarł do tonącego, którego uchwycił za nogi. Szaleniec jednak uczepił się rąk ratu-

jącego. Zaczęła się między nimi walka straszna, stary stracił powoli ostatek sił, a nikt nie niósł mu ratunku. W końcu obydwaj utonęli.

Ksiądz Ortwed.

Przed czterdziestu laty żył w Danii chłopiec, któremu matka czytywała zamiast bajek dzieje narodów. Sama tak przejmowała się niemi, że nieraz płakała nad okrucieństwami wojen, nad strasznemi skutkami czynów złego człowieka.

Łzy matki spadały w serce dziecka ognistemi kroplami i zapaliły w niem niewygasły płomień miłości dla wszystkiego co cierpi. Dziecko wyrosło na człowieka; życie, wiedza nabyta, (ukończył trzy fakultety), rozwinęły w nim zasiane w pierwszych latach ziarna współczucia dla ludzkiego bólu; skrystalizowały je w czyny jego możności dostępne.

Te czyny zowie on swoim obowiązkiem, swoją drogą na ziemi. Nic w nich rozgłośnego, nadzwyczajnego „nadludzkiego“ nie ma.

Kiedy rozejrzał się po swojej ojczyźnie, zobaczył na niej gromady biedaków z obcej ziemi przybyłych. Szukali chleba. Zobaczył wychodźców z Galicyi, z Księstwa Poznańskiego, z Królestwa. Mniej tu znalazł nędzy materyalnej niż duchowej i postanowił złemu zaradzić.

Nauczył się też mowy przybyszów i teraz włada nią doskonale.

Tym człowiekiem jest ksiądz Ortwed, zamieszkały na wyspie Laland.

Znają go wszyscy. W koloniach robotników polskich, on jest sędzią, doradcą, nauczycielem, opiekunem i prawdziwym ojcem duchownym swoich parafian. Niewielkie ma środki, ale co sam ma — im oddaje. Czas, pieniądze i duszę! I nigdy czasu mu nie zabraknie, nawet na śpiewanie z dziećmi krakowiaków, przy wtórze morskiego szumu.

Jak wszyscy prawie ludzie czynu, nie zna ksiądz Ortwed ani apatyi z melancholii wyrosłej, ani zniechęcającego sceptycyzmu, zna tylko wysiłek energii, skupionej w promień światła, gdzie ciemnota — w promień ciepła, gdzie ból i troska, w błysk piorunu, gdzie zło nieuleczalne wypalić trzeba.

Co go specyalnie do grupy polskich wychodźców pociągnęło? Jaka tajemna siła kazała mu być dobroczyńcą tej właśnie garści rozbitków?

— Miałem zawsze dla Polaków sympatyą — opowiada. — Wiele o nich słyszałem od moich rodziców.

Przykład księdza Ortweda zbawienny wpływ wywiera na charakter jego parafian.

„Pokrytka“.

(Ilustracya na stronicy tytułowej).

Rycina nasza ilustruje smutny wypadek, który zdarzył się w tych dniach w Grzybicach, ruskiej wsi nad Dniestrem.

Kaśka Kuzmin, córka Wasyla, majętnego gospodarza z Grzybic.. zgrzeszyła. I kiedy fatalny owoc grzechu już dojrzewał, opuściła dom rodziców i poszła do znachorki, co mieszkała podle lasu.

Kaśka miała ładne korale, które na jej prośbę owa znachorka w pobliskiem miasteczku zastawiła. Z uzyskanych stąd pieniędzy żyła Kaśka sama a potem z dziecięciem, mieszkając u owej znachorki.

Aż kiedy pieniądze się wyczerpały i znachorka darmo jej u siebie trzymać nie chciała — poszła Kaśka z dzieciną na ręku... w świat.

Lecz niedaleko zaszła, bo kiedy stanęła na chwilę nad rzeką, by odpocząć, taka ją żałość i rozpacz za serce ujęły, że niemyśląc wiele... skoczyła z dzieckiem do wody.

W kilka godzin potem wydobyto z Dniestru dwa trupy.

Ostatnie wiadomości.

Nie chciała szewca! Dziś o godzinie wpół do 3 po południu poruszył mieszkańców ul. Długiej sensacyjny wypadek; oto szewc Józef N. kochał się w służącej, Maryi Kasperskiej, lecz nadobna nie chciała szewca, bo — jak to sama powiedziała — w „jej familii żadna kobita szewcową nie była“. Ciężką tę obelgę dla zacnego stanu szewskiego wziął sobie zapalczywy Józef tak do serca, że targnął się na życie ubóstwianej.

Strzelił do niej dwa razy, następnie trzy strzały skierował do siebie.

Parą ciężko rannych i nieprzytomnych kochanków zajęło się pogotowie stacyi ratunkowej.

Bliższe szczegóły tej sensacyjnej sprawy podamy w jutrzejszem wydaniu.

Telegramy „Kuryerka Krak.“

Lwów. (*Fiszer ustąpił z sceny lwowskiej*). P. Gustaw Fischer przestał na własne żądanie należeć do składu artystów sceny lwowskiej.

Lwów. (*Akcya przeciwstrajkowa*). W sobotę popołudniu obradował poufnie w gmachu Towarzystwa kredytowego ziemskiego zjazd członków komitetu galicyjskiego Towarzystwa gospodarskiego nad organizacyą anti-strajkową.

Lwów. (*Otwarcie roku szkolnego na lwow. politechnice*). Otwarcie roku szkolnego w politechnice lwowskiej, odbyło się dziś przed południem. Po nabożeństwie, odprawionem w kościele Maryi Magdaleny przez ks. kanonika Słopczyńskiego, w auli politechniki zebrali się profesorowie politechniki z rektorem Fiedlerem, namiestnik i marszałek kraju; arcybiskupi ks. Teodorowicz i ks. Weber, prezydent i wiceprezydent sądu wyższego Tchórznicki i Dylewski, wiceprezydent kraj. Rady szk. dr. Płażek, dyrektor poczt Seferowicz, dyrektor kolei Wierzbicki, prokurator skarbu dr. Korn, rektor Wszechnicy dr. Ochenkowski, członek Wydziału kraj. Romanowicz, i inspektor kraj. Franke, większa liczba zaproszonych pań i panów — młodzież akademicka.

Rektor Fiedler powitawszy obecnych, złożył sprawozdanie z czynności senatu w r. ubiegłym. Rektor podniósł wzrost frekwencyi uczniów, zaakcentował jednak, że budynek politechniki coraz jest ciaśniejszym i nie wystarczającym na potrzeby. Mowca wspomniał o nieporozumieniach, jakie zaszły w r. ubiegłym między młodzieżą politechniczną a władzami szkolnemi. Nieporozumienia te po części przyczyniły się do tego, że owoce nauki nie były tak wydatne, jak w latach ubiegłych. Rektor żywi jednak nadzieję, że młodzież, aby służyć owocnie krajowi i społeczeństwu, zdwoi swą pracę a do uzyskania swych słusznych praw dążyć będzie na drodze legalnej. Podniósł także mowca znaczenie, jakie ma kreowana niedawno krajowa mechaniczna stacya doświadczalna.

Drukarnia i stereotypia A. Koziańskiego w Krakowie.